

SOPLICOWO W HUBEI

IZABELLA ZAJĄCZKOWSKA TYGODNIK POWSZECHNY

z Pekinu

09.03.2020

CZYTA SIĘ 9 MINUT

Reedukowali ich. Przed południem ciężka praca fizyczna, po południu szkolenia ideologiczne. Wieczorem mogła wreszcie tłumaczyć „Dziady” Mickiewicza. Na życzenie premiera Chin.



Prof. Yi Lijun z mężem i córką w Gdańsku. W 2007 r. otrzymała doktorat honoris causa Uniwersytetu Gdańskiego. RENATA DĄBROWSKA / AGENCJA GAZETA

Słucham, jak profesor Yi Lijun czyta po chińsku „Pana Tadeusza”; melodyjnie i rytmicznie. Sama dokonała tego przekładu. Jej dorobek tłumaczeniowy jest imponujący – ponad 60 pozycji z literatury polskiej, w tym „Dziady” Mickiewicza, „Krzyżacy” i „Trylogia” Sienkiewicza, „Sława i chwała” Iwaszkiewicza, „Ferdynand” Gombrowicza.

Spotykałam ją wielokrotnie, ostatnio podczas promocji drugiego wydania książek Olgi Tokarczuk; dawno już przez nią przetłumaczonych na chiński. Na stołach leżą „Prawiek i inne czasy” i „Dom dzienny, dom nocny”. Wokół tłoczą się młodzi czytelnicy, by chwilę porozmawiać i poprosić o autograf.

Na dłuższą rozmowę umawia się ze mną w pokoiku Katedry Języka Polskiego na Pekińskim Uniwersytecie Języków Obcych, gdzie 66 lat temu powstała pierwsza w Chinach polonistyka. Kolejne pokolenia polonistów wciąż potrzebują rad. Pomaga im i doskonale orientuje się, co i jak tłumaczy. Sama już nie zajmuje się przekładami, a ostatni, którego się podjęła, przekazała swemu uczniowi. Bardzo żałuje, że nie może ukończyć „Doliny Issy” Miłosa, bo jak twierdzi: „głowa już niezbyt dobrze pracuje i oczy bolą”.

Nad rzeką, której nie ma

Urodziła się w 1934 r. w dalekiej prowincji Hubei. Przed domem dziadków były drzewa, płynęła rzeka. W oddali rosły drzewa morwowe, których liście służyły do karmienia jedwabników. Pamięta, jak poczwarki zmieniały kolor pod wpływem pigmentu znajdującego się w liściach i jak kobiety zatrudnione w gospodarstwie ciągnęły nici z kokonów i przygotowywały surowy jedwab. Starła się pomagać w prostych pracach, co później, w latach tzw. rewolucji kulturalnej jej się przydało. Dziadek ukończył studia ogrodnicze w Japonii, więc dbał o ogród, który stworzył zgodnie z obowiązującymi w Azji zasadami: łącząc kamień, wodę i małą architekturę z urozmaiconą roślinnością. Niestety – żałuje – nie zachowały się z rodzinnej posiadłości żadne zdjęcia, rysunki czy plany.

Ostatni raz widziała ją w 1947 r., gdy miała 13 lat. Wtedy dziadkowie postanowili przenieść się do Wuhanu, gdzie ich synowie podjęli pracę jako nauczyciele w szkołach średnich. Dzięki tej decyzji uniknęli zapewne represji ze strony nowych władz. Dwa lata później powstała Chińska Republika Ludowa, a w 1950 r. na mocy dekretu o likwidowaniu posiadłości obszarowych w ich domu zakwaterowano pięć chłopskich rodzin, a ziemię rozparcelowano.

W szkole średniej w Wuhanie przeczytała „Odeę do młodości” Mickiewicza, tłumaczoną na chiński z języka francuskiego. Była dla niej jak objawienie, zapowiedź czegoś nowego i niezwykłego – wspomina. Potem, podczas studiów sinologicznych na Uniwersytecie Wuhańskim zwróciła uwagę na teksty Lu Xuna, uważanego za ojca współczesnej literatury chińskiej, który jako pierwszy odkrył literaturę polską dla chińskiego czytelnika. Zainteresowała się innymi utworami Mickiewicza i twórczością Sienkiewicza – imponował jej bunt przeciwko niesprawiedliwości, umiłowanie wolności, siła, niezłomność, przywiązanie do tradycji i obyczajów, miłość do ojczyzny.

Po pierwszym roku nauki najlepszym studentom zaproponowano kontynuację nauki w Moskwie lub w innych stolicach państw bloku socjalistycznego. Yi podjęła decyzję o wyjeździe do Warszawy. Już sama podróż była przygodą życia. Do stolicy ZSRR jechało się sześć dni – urzekł ją widok Bajkału. Specjalny pociąg wiozł 2 tysiące młodych ludzi najpierw do Moskwy, gdzie pozostawała większość – 1800 studentów. Reszta po trzech dniach zwiedzania udała się do krajów Europy Środkowo-Wschodniej. W Warszawie wysiadło osiemnaścioro.

Był 4 października 1954 r. Tej daty nigdy nie zapomni, był to początek trwającej całe życie przygody. Po roku zerowym, na którym Yi Lijun od podstaw uczyła się języka polskiego, podjęła pięcioletnie studia polonistyczne na Uniwersytecie Warszawskim. Mieszkała na osiedlu Przyjaźń na Jelonkach. Razem z nią przyjechał też przysły mąż, Yuan Hanrong – student Wydziału Matematyczno-Fizycznego UW; potem współpracownik tłumaczki.

Wszyscy z tej pierwszej grupy wysłanej do Polski po skończeniu studiów powrócili do Chin (przed wyjazdem z ojczyzny przez parę miesięcy byli na tyle skutecznie indoktrynowani, że nikt nie odważył się zostać). Później bywało różnie, nawet połowa studentów pozostawała w Polsce.

Młodości, dodaj mi skrzydła

Powrót do Chin nie był łatwy, czasami z zupełnie prozaicznych powodów. Młoda Yi Lijun ubierała się jak eleganckie Polki w suknie z Telimeny, a w Państwie Środka

moda była zuniformizowana – należało nosić granatowe bawełniane mundurki. Zanim otrzymała talon na taki strój, została obrzucona nieopodal uniwersytetu grudkami ziemi i kamieniami przez grupę podrostków. Suknie z Telimeny spoczęły na dnie szafy.

Pracowała w Chińskim Radiu Międzynarodowym w Pekinie, a później na uniwersytecie. Ślub, narodziny córki, cotygodniowe odwiedziny męża, który pracował w zamkniętym Ośrodku Rozwoju Fizyki Jądrowej pod Pekinem.

Do Chin docierały relacje z Warszawy na temat protestów studentów i intelektualistów przeciwko władzy. Zhou Enlai, premier rządu chińskiego, był poruszony faktem, że ogniwem zapalnym rozruchów '68 roku stało się wystawienie „Dziadów” Mickiewicza. W następnym roku zwołał ambasadorów Chin (w 1967 r. zostali odwołani ze swoich placówek) na naradę, na której zadał pytanie, czy któryś z nich czytał utwór Mickiewicza. Zaległa cisza, a jej konsekwencją był nakaz przetłumaczenia dramatu. Zwrócono się do starszego i doświadczonego tłumacza, ale ten odmówił, bo uważał, że utwór jest nieprzekładalny. Być może do tej pory chińscy czytelnicy nie znaliby „Dziadów” cz. III, gdyby nie jej – jak mówi Yi – „głupota i odwaga”. Gdy usłyszała od sąsiadki, pracującej w prestiżowym Wydawnictwie Ludowym, że nikt nie chce podjąć się tłumaczenia, zgłosiła się natychmiast. Jak twierdzi, była wtedy pełna wiary w swoje możliwości, niczego się nie bała, niczego nie ryzykowała, a „młodość dodawała jej skrzydeł” .

W rozmowie z redaktorem naczelnym wydawnictwa zgodziła się tłumaczyć bez wynagrodzenia (otrzymała je dopiero w 2008 r. za przekład wszystkich części dramatu). Było to jej pierwsze tłumaczenie dłuższego dzieła literatury polskiej. Dziś twierdzi, że rozumiała z niego wtedy „piąte przez dziesiąte”, ale gdyby nie praca nad nim, nie wie, jak potoczyłoby się jej dalsze życie.

W 1966 r. zaczęła się bowiem w Chinach rewolucja kulturalna zainicjowana przez Mao Tse-tunga. Mao zachęcał młodych ludzi do buntu, zwalczania starych idei, obyczajów, religii, tworzenia nowej kultury i budowania komunistycznej demokracji. Kto nie podporządkował się tym dyrektywom, był prześladowany,

więziony, a nawet karany śmiercią. Według nieoficjalnych danych życie mogło stracić nawet 3 miliony osób. Najbardziej burzliwy okres rewolucji kulturalnej w Chinach trwał w latach 1967-69, ale pracownicy i studenci obecnego Pekinńskiego Uniwersytetu Języków Obcych dopiero w 1970 r. zostali wywiezieni prosto z sal wykładowych na wieś położoną na wyspie. Od robotników i chłopów mieli się uczyć pracy. Zamieszkali tam w barakach służących niegdyś za budynki więzienne.

Yi Lijun komentuje te lata z sarkazmem: „Może i mogłam czegoś nauczyć się od robotników, ale od chłopów? Przecież ja wiedziałam, na czym polega ich praca”. Rytm dni odmierzały przedpołudniowa ciężka praca fizyczna i popołudniowe szkolenia ideologiczne. „Wieczorem – wspomina – zaczynało się moje prawdziwe życie”. Przy kopczącej lampie naftowej pochylała się nad „Dziadami”. Żadnych słowników, żadnych innych tłumaczeń dzieła, tekst, czyste kartki i pióro. Dziś trudno nam sobie wyobrazić tłumaczenie książki w takich warunkach, ale śmieje się, gdy o to pytam. Powtarza, że była młoda, szalona i chciała zrobić coś wyjątkowego. Najtrudniejsza była „Wielka Improwizacja”, czuje się jednak z tego rozgrzeszona, bo niewielu Polaków umie ją zinterpretować.

Po dwu latach uznano, że studenci są zresocjalizowani. Mogli wrócić do Pekinu. Przekładowi wciąż daleko było do doskonałości. Szczęśliwie się złożyło, że profesor mogła wyjechać do Polski na Międzynarodowe Targi Poznańskie. Odpracowawszy swoje jako tłumaczka, poprosiła o przedłużenie pobytu, by mieć czas na konsultacje translatorskie. Śmieje się, że polscy handlowcy nie mogli jej pomóc, bo niewiele zrozumieli z dramatu. Największe wsparcie otrzymała od promotorki swojej pracy magisterskiej Janiny Kulczyckiej-Saloni i przyjaciół z UW. Jeszcze parę lat musiała czekać na opublikowanie „Dziadów”, ale ich ukazanie się po chińsku w 1976 r. było wydarzeniem przełomowym. Był to pierwszy utwór zagraniczny wydany po czasach rewolucji kulturalnej.

Tłumaczenia są najważniejsze

Przygoda z Juliuszem Słowackim nie zakończyła się tak szczęśliwie. Tłumaczenie „Lilli Wenedy” do dziś spoczywa na dnie szuflady i już pewnie nie ujrzy światła dziennego. Próby wydania go w Wydawnictwie Ludowym były nieudane. Przekład

oceniono jako słaby, a tematykę utworu jako zbyt ezoteryczną. W ogóle twórczość Słowackiego, nawet dla tłumaczki, jest wyjątkowo trudna, pełna symboli, mistycyzmu, skomplikowanej historiozofii. Nikt nie chce go wydawać. Redaktor, który powierzył jej pracę nad „Dziadami”, stwierdził, że owszem, czytał Słowackiego po rosyjsku, ale nic a nic nie rozumiał. Za to wielką popularnością cieszą się przekłady Sienkiewicza. Yi Lijun czytała w młodości dużo powieści historycznych, co ułatwiło jej znalezienie odpowiedniego ekwiwalentu w języku chińskim. Po Sienkiewiczu przełożyła „Ferdynand” Gombrowicza. Praca nad tym przekładem – twierdzi – pozwoliła zachować równowagę psychiczną i była niezwykle ciekawym wyzwaniem językowym.

Wreszcie przyszła kolej na „Pana Tadeusza”. Długo nie miała odwagi, by podjąć się tego zadania. Śmieje się, że tym razem zabrakło jej szaleństwa i brawury. W końcu zgodziła się na zamówienie Wydawnictwa Ludowego przygotować wierszowaną (wcześniejszy przekład był w stylu prozatorskim) wersję utworu. Trzynastozgłoskowiec został zamieniony na wersy trzynasto- i czternastosylabowe, co nie było rzeczą najtrudniejszą, ale jak oddać muzykę wersu polskiego, w którym akcenty padają zazwyczaj na przedostatnią sylabę, a w języku chińskim nie istnieją i rytmiczność budowana jest przez cztery tony o różnej wysokości? Jak odtworzyć różnorodne rymy? Dziś jednak wspomina, że trudniej było znaleźć ekwiwalenty dla nazw ubrań, przedmiotów, urzędów, flory i grzybów.

Czasami zachęta do tłumaczenia przychodziła od innych. Tak było w przypadku Olgi Tokarczuk. Po kupieniu praw na targach książki we Frankfurcie wydawnictwo z Tajwanu, nie mogąc znaleźć tłumacza u siebie, zaczęło szukać w Chinach kontynentalnych. Oferta została zaakceptowana, bo „Prawiek i inne czasy” i „Dom dzienny, dom nocny” zrobiły na Yi Lijun duże wrażenie. Ceni je za oryginalność, mądrość, połączenie realizmu i wyobraźni.

Więzi

Po roku zerowym, poświęconym nauce języka polskiego w Warszawie, studenci mogli spędzić wakacje w Sopocie. Yi Lijun z błyskiem w oczach i z nostalgią wspomina wspólne z mężem spacerowanie aleją wysadzaną platanami. Nazywa ją aleją

kochanków lub zakochanych, bo właśnie ona połączyła ich na całe życie. Pamięta każdy szczegół, układ architektoniczny, kolory, zapachy... Choć pobrali się dopiero po ukończeniu studiów w Chinach, już wtedy wiedzieli, że będą razem. W czasie wywiadu udzielonego niedawno telewizji ciężko chory od lat, milczący pan Yuan Hanrong towarzyszy przez chwilę żonie.

Yi Lijun często podkreśla, że wychowała się jako jedynaczka i nie było jej łatwo żyć po opuszczeniu domu rodzinnego. W mężu znalazła oparcie i zrozumienie. Szczerze przyznaje, że to on służył jej, a nie ona jemu. Przez całe życie pomagał też w pracach translatorskich i był pierwszym czytelnikiem tłumaczeń, a w latach 90., kiedy już przeszedł na emeryturę, pracowali nad nimi wspólnie. On żartuje, że to niesprawiedliwe, by wszystkie nagrody zbierała jego żona, podczas gdy on pozostaje w cieniu. Często wspominają młode lata spędzone w Polsce.

Szczególnie trudnym okresem dla rodziny były lata 1970-72. Gdy żona przymusowo przebywała na wsi, Yuan Hanrong jako pracownik strategicznego instytutu pozostał pod Pekinem. Co sobotę wsiadał do wojskowej ciężarówki i wracał na kampus uniwersytecki, by zobaczyć ośmioletnią córkę. Dziewczynka miała wyjątkowe szczęście, bo mogła widywać ojca, podczas gdy inne dzieci zobaczyły swoich rodziców dopiero po dwóch latach.

Yi Lijun jest powściągliwa w opisie swych emocji z tamtych lat. Wiedziała tylko, że córka, jak wszystkie pociechy, znajduje się pod opieką żołnierzy marynarki wojennej, że ma dach nad głową, że się uczy. Spotkanie po tak długim rozstaniu okazało się jednak trudne: trzeba było na nowo budować zerwane więzi, nadrobić stracony czas (obowiązywał zakaz osobistych kontaktów, rozmów, a nawet wymiany listów z zesłanymi na reedukację). Podczas naszej rozmowy dłuższe milczenie. Niedawno córka przyjechała z USA na urodziny taty. Mieszka tam od dawna ze swoim chińskim mężem i córką. Wnuczka nigdy nie była w Chinach i nie zna języka chińskiego. Babcia nie wybrała się za ocean. Z dumą pokazuje jej zdjęcia w telefonie.

Ambasador polskiej kultury

Nieraz przeżywała chwile zwątpienia w to, co robi. Z żalem mówi, że pisarz nie ma dziś wpływu na naród, a współcześni redaktorzy nie zawsze znają się na literaturze. Ale chociaż nikt nie wyda tu „Lilli Wenedy”, to warto tłumaczyć dalej. Dla niej – jak twierdzi – był to sposób na życie i służbę kulturze własnej ojczyzny.

Nasze ostatnie spotkanie kończy recytacja „Pana Tadeusza”. Już czas na obiad, a tłumaczka wciąż czyta. Jest w Soplicowie i równocześnie w pięknym domu z ogrodem u swoich dziadków.

– Najpierw – mówi Yi Lijun – nie chciałam tam wracać, później nie mogłam, a kiedy już mogłam, to się bałam konfrontacji z własną pamięcią, a teraz już za późno, już nie mam siły. Niech wszystko pozostanie we wspomnieniach dzieciństwa, czystych i jasnych jak „Pan Tadeusz”. ©